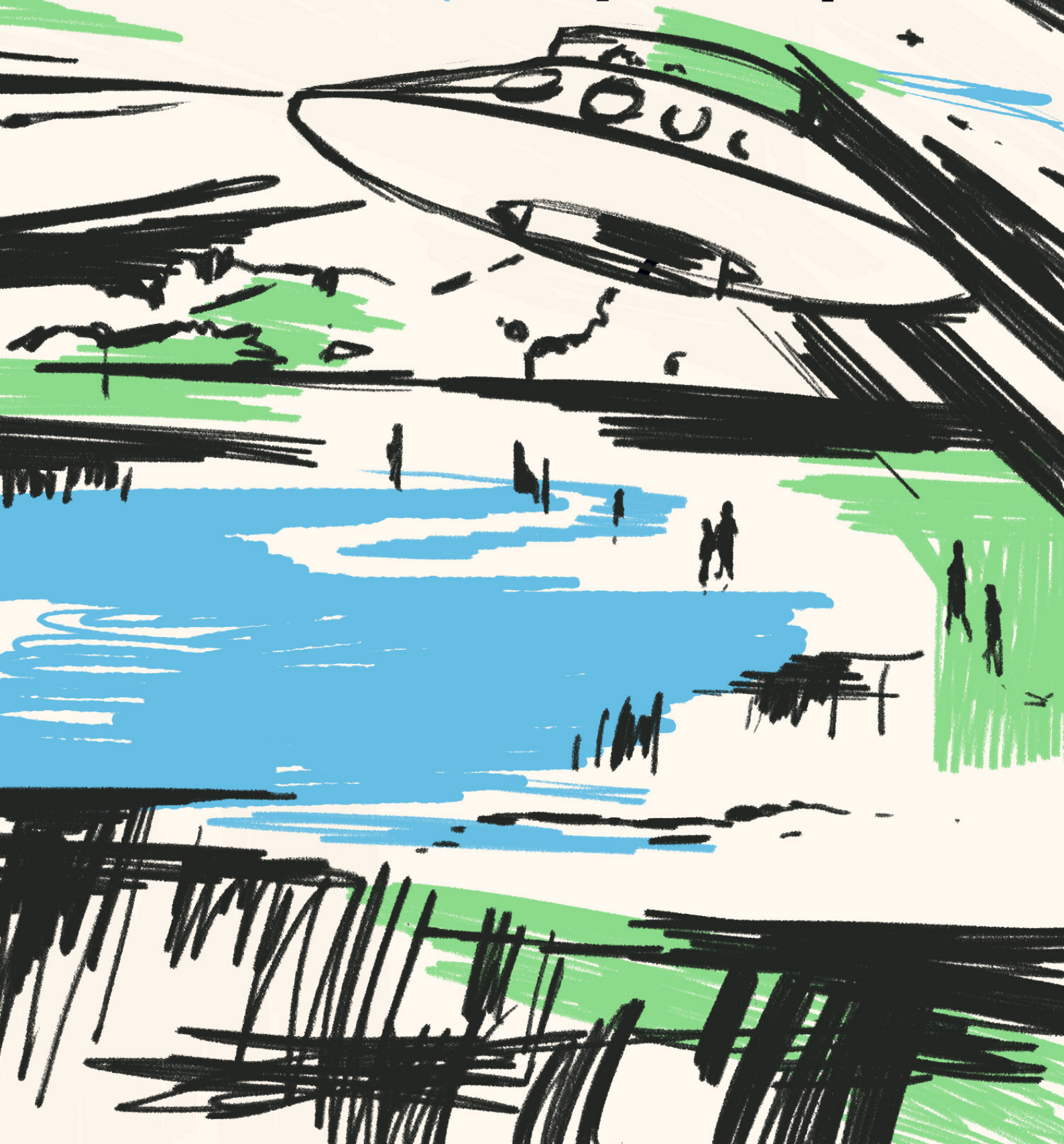


BOHDAN

PETECKI

Tu Alauda z Planety Trzeciej



Bohdan Petecki

TU ALAUDA Z PLANETY TRZECIEJ...

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-86-7

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1988

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Spis treści

Tato, co to?

Tato, oni!...

Tu Alauda z Planety Trzeciej...

Tato? Czy oni to widzą...?

W pułapce

Ludzie, ocknijcie się!

Po burzy

Tato, co to?

Kończył się długi lipcowy dzień. Górską, zygzakowaną szosą jechały wzdłuż jeziora dwa samochody. Prowadził biały polonez, nieco oklapły pod unoszonym ciężarem. Za polonezem ambitnie nadążał żółty fiacik.

Kiedy droga spadała ku brzegowi, ukazywało się wielkie słońce, to w przełęczach między zalesionymi grzbietami, to znowu tuż nad powierzchnią wody. Jednak przy zmianie kierunku, gdy wypadło omijać nową zatoczkę lub wspinać się ostrą serpentyną na kolejne wzgórze, krajobraz raptownie ciemniał. Cienie skakały przez asfalt jak straszidła, drzewa się wydłużały, a trawa na stokach na przemian gasła i płonęła czerwonym ogniem. Na wschodzie od dawna czekał księżyc. Zaświeciła Wenus.

– Widzisz, jak tu ładnie? – spytał mężczyzna siedzący za kierownicą fiacika.

– Bardzo ładnie – przytaknął grzecznie jadący obok mężczyzny chłopiec.

– Przed nami ostatnie wzniesienie. Za chwilę zobaczysz cały Górak jak na dłoni. Potem tylko długi, prosty zjazd i jesteśmy na miejscu. Dom państwa Piotrowiczów stoi przed wsią, między drogą a jeziorem. Pływać już dzisiaj nie będziemy, ale skoczymy splukać z siebie trudy podróży. Cieszysz się? – w głosie mówiącego zabrzmiała nieśmiała zachęta.

– Tak, tato.

Usłyszawszy tę odpowiedź kierowca umilkł. Nie, Łukasz się nie cieszy...

Chłopiec nie zauważył, że twarz ojca zmieniła wyraz. Patrzył na drogę, która omijała szczyt wzgórza i łagodnym łukiem obniżała się znowu w stronę jeziora. Biały polonez ukazał się ponownie, niezbyt daleko w przodzie. Chłopiec odwrócił wzrok.

To niestety prawda. Łukasz wcale się nie cieszył...

A przecież wszystko zdawało się przemawiać za tym, że powinien kipieć radością. Był nieco chudawym, lecz zdrowym dryblasem, który niedawno ukończył z powodzeniem czternasty rok życia, a całkiem niedawno, z niemniejszym powodzeniem, siódmą klasę sympatycznej szkoły w pięknej dzielnicy Krakowa. Jego spokojna, pociągła twarz oraz więcej niż powściągliwy sposób bycia, jednały mu nauczycieli i kolegów, a wzrost i kručzą czupryna przyciągały oczy koleżanek. Często wypuszczał się na rowerze na Sowiniec i Bielany, do Tyńca nawet do Ojcowa. Dobrze grał w siatkówkę. No a dzisiaj jechał na wakacje do Górka, zaproszony tam wraz z ojcem przez wspomnianych przed chwilą państwa Piotrowiczów, do ich letniskowego domu. Jezioro, góry, w perspektywie dwa miesiące beztrudnych harców. Czego chcieć więcej?

Łukasz, przy całej swojej wrodzonej skromności, a mówiąc otwarcie i nieśmiałości, nie był malkontentem. Nie należał do specjalistów od wynajdywania dziury w całym. Jeśli wobec wszystkich tak bardzo sprzyjających okoliczności nie potrafił patrzeć na świat pogodnie i wesoło, musiało to oznaczać, że coś mu doskwiera. Coś, co należało do zjawisk całkowicie realnych, a nie li tylko do majaków cierpiętniczej wyobraźni.

Tak rzeczywiście było.

Towarzystwo ojca nie wróżyło kłopotów. Przeciwnie, Rafał Polowy, wysoki chudzielec, zawsze przygarbiony, zawsze jakby trochę zahukany, był z zawodu chemikiem, z natury flegmatykiem, a z charakteru poczciwcem. Umiał słuchać i nie uciekał się do prędkich, zdawkowych odpowiedzi, nawet gdy pytania syna dotyczyły spraw zwyczajowo zastrzeżonych dla dorosłych. Nigdy nie wpadał w ton wiecznie wszystko przewidującego opiekuna. Najczęściej był cichym, starszym kompanem. Ale jego obecność w Górku nie zmieniła faktu, że będzie to pierwsze w życiu lato spędzone bez matki.

Niebawem minie rok.

Nie, matki Łukasza nie spotkała żadna zła przygoda. Sama zdecydowała się opuścić ich wspólny dom. Chłopiec nie wiedział, czy matka musiała tak postąpić, a jeżeli tak, to dlaczego. Powtarzała tylko: „kiedyś zrozumiesz”, poprzestając na niejasnych napomknieniach o ojcu, a

ten ostatni był tak przybity i tak niezdarnie próbował podtrzymywać syna na duchu, że Łukasz, po kilku urwanych rozmowach, które niczego mu nie wyjaśniły, postanowił wstrzymać się od dalszych pytań. Było mu jednak bardzo smutno.

Cóż, w życiu zdarza się i tak.

Ale Łukasz miał jeszcze inny problem i inny powód, dla którego wakacje w Górku nie wydawały mu się ani trochę pociągające. Ten drugi powód pozostawał w ścisłym związku z białym polonezem. Państwo Piotrowiczowie. To, co pan Marek powiedział o jego ojcu, kiedy myślał, że słuchają go wyłącznie domownicy. I jeszcze ten niegrzeczny zarozumialec, Paweł. Siostrze Pawła, Mirze, też niczego nie brakuje. Tylko że Mira jest taka ładna...

Kierowca poloneza zerknął w lusterko.

– No i co? Jadą? – spytał starszy mężczyzna o siwych włosach postrzępionych przez wiatr.

– Co? – mruknął z roztargnieniem zagadnięty. – A tak, jadą.

– No proszę – odezwał się z tylnego siedzenia ironiczny głosik. – Nie pamiętacie przypadkiem, kto to nas zapewniał, że będziemy na nich czekać z kolacją do północy?

– Miro... – powiedziała z łagodnym wyrzutem kobieta, wciśnięta w kąt między oparciem a drzwiami.

– Pamięć mamy lepszą niż niektórzy z obecnych tutaj – odciął się chłopiec zajmujący miejsce po przeciwnej stronie. – Rzecz w tym, że my powinniśmy na nich czekać do północy. To nie moja wina, że tato zamiast jechać robi dzisiaj kolarską „stójkę” i że...

Mira zaśmiała się głośno. Była rzeczywiście bardzo ładna.

– Co? Pawle, proszę cię!... – rozgniewał się kierowca.

– ...i że ci tam, z tyłu, zamęczają swoje pudełko, żeby nam dotrzymać kroku – dokończył bez zająknięcia Paweł. – Pewnie tak już będzie przez cały czas. W domu, na wodzie, na spacerach. Bez przerwy zechcą nam pokazywać, że nie są od nas gorsi.

– A czy oni są gorsi? – spytał spokojnym, życzliwym głosem najstarszy pasażer poloneza, siedzący obok kierowcy.

Paweł i tym razem nie dał się zbić z tropu.

– E, dziadku! – prychnął lekceważąco. – Ten cały Łukasz z jego ponurą, końską gębą! Nieodrodny syn swojego ojca!

– Naprawdę, dość tego! – zaprotestował bez przekonania mężczyzna przy kierownicy. – Pan Polowy jest naj... Jest jednym z najzdolniejszych pracowników naszego instytutu.

– E, tato! Sam mówiłeś, że to dziwak, ślamazara i że ani rusz nie można go zmusić do napisania doktoratu.

– Nie denerwuj mnie, kiedy prowadzę samochód! Ja mówiłem? Nie mówiłem.

– Mówiłeś.

– Jeśli nawet, to nie do ciebie.

– Co z tego? A poza tym, skoro jest taki nadzwyczajnie zdolny, to dlaczego ty zostałeś kierownikiem pracowni, a nie on?

– Pawle, przestań! – zawołała cicho kobieta. Miała drobną, młodą twarz o dużych piwnych oczach i czarne włosy nierównomiernie przetykane srebrnopolipielatą siwizną. – Pan Rafał i Łukasz będą naszymi gośćmi – mówiła dalej tonem raczej proszącym niż ostrym. – Przeżyli niedawno... – zawahała się – przeżyli trudne chwile... Wszystkim nam powinno zależeć na tym, żeby spędzili u nas naprawdę przyjemne wakacje. Zresztą nie rozumiem, o co ci chodzi. Obaj są bardzo mili...

– Dobrze już, mam, dobrze – sarknęła Mira. – Wiemy, że ty ich lubisz – podkreśliła z przekąsem.

– Ja także ich lubię – powiedział dziadek.

Przed szybą fiacika zalśniło na moment jezioro, po czym droga wpadła w ciasny łuk. Kierowca poloneza zapalił światła. Ojciec Łukasza zrobił to samo.

Chłopiec patrzył przed siebie, tam, gdzie między czarnymi sylwetkami świerków widniał prostokąt fioletowego nieba z jedną maleńką gwiazdką pośrodku. Powoli rozstęp między owymi świerkami stawał się większy, a gwiazdka bladejsza. Wreszcie świat znowu odrobinę pojaśniał. Tylne światelka poloneza zniknęły za zakrętem, by niemal natychmiast zabłysnąć ponownie, tylko dalej i trochę z boku. Droga zwijała się tam jak dżdżownica, omijając szczyt wysokiego wzgórza.

– To właśnie tutaj – powiedział ojciec. – Uważaj teraz.

Łukasz pomyślał, że na podziwianie widoków jest jednak odrobinę za ciemno, ale zachował tę myśl dla siebie, a chwilę później aż uniósł się w fotelu. Panorama była przepyszna i właśnie tym piękniejsza, że mroczne światło przydawało jej głębi i tajemniczości, jak niektórym starym obrazom.

– Tato, zwolnij!

– Państwo Piotrowiczowie nie będą wiedzieli, co się z nami stało – na przekór tym słowom fiacik potoczył się jeszcze kilkanaście metrów i przystanął. Jego kierowca znał już to miejsce. Marek Piotrowicz przywoził go tutaj dwa lub trzy razy, gdy uważał, że muszą także w soboty i niedziele ślęczeć nad jakimiś planami lub obliczeniami związanymi z działalnością instytutu. Ale dla Łukasza ten widok stanowił zupełną nowość.

Z jednej strony nisko w dole jezioro, rozpląszczone wśród wzgórz jak ogromny, srebrzysty liść o fantazyjnie wyciętych brzegach. Z drugiej szeroka kotlina, przecięta rzeką, podobną do lśniącego węża. A na wprost zabudowania Górka, maleńkie jak zabawki, przitulone do półkolistej zatoki, poprzerastane czarnymi kępami drzew, spod których błyskały wesołe światelka. Im dalej brzegu, tym wyżej piły się domy i domki. Słońce przestało już czerwienić powierzchnię wody, za to od plaży prosto ku dziwnej, stożkowatej wysepce, wiodła przez jezioro migotliwa księżycowa ścieżka.

– Jak tu pięknie! – wyrwało się chłopcu.

– Pięknie – cicho przytaknął ojciec. – Pięknie i spokojnie.

Łukasz byłby może dodał jeszcze parę przysłówków i przymiotników, ale raptem zobaczył coś niezwykłego. Naturalnie, nie mógł przewidzieć, że to coś zapowiada przygodę, która odmieni jak w bajce całe tegoroczne wakacje, jednak zjawisko było dostatecznie osobliwe, by zapomnieć o wszystkich częściach mowy poza wykrzyknikami.

– O! O! Tato!

Jezioro między plażą a szpiczastą wyspą przeszło oślepiające światło. Ułamek sekundy później powstało na wodzie wielkie koło, gorejące srebrnobiałym ogniem. Koło zaczęło się wyrzyszczać, utworzyło najpierw półkulę a następnie kulę, która z początku powoli, a potem coraz szybciej pomknęła w niebo, gdzie zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Tuż przed zniknięciem zdążyła zmienić barwę z srebrzystej na jasnożółtą, potem na pomarańczową, czerwoną, wreszcie fioletową.

– Tato? Co to?

Ojciec poruszył bezradnie głową.

– Nie wiem – powiódł wzrokiem po okolicy, która znowu stała się senna i niewinna. – Może to żeglarze się bawią, a może jest tutaj jakieś sportowe lotnisko... Albo gospodarze Górka przygotowują dla letników pokaz ogni sztucznych...

– O! O!

W tym samym miejscu co przedtem błysnęło znowu. Tym razem zapaliły się dwa kręgi. Chwilę potem dwie kule poszybowały w górę identycznie jak pierwsza, kłując oczy jaskrawymi kolorami.

Chłopiec przełknął ślinę. Stanowczo nie wyglądało mu to ani na figle wodniaków, ani na nocne loty zapaleńców z aeroklubu, ani na ognie sztuczne. Było jakieś... inne.

– Musimy jechać – ojciec zapalił silnik. Samochód ruszył i nabierając szybkości zaczął się toczyć w dół. – Na miejscu dowiemy się, kto puszcza te świecące bańki i dlaczego. Ej! – to ostatnie dotyczyło także światła, które jednakże zabłysło nie w jeziorze, a we wstecznym lusterku i oślepiło kierowcę. Rycząc klaksonem wyprzedził fiacika rozklekotany mikrobus.

– Ci na pewno dogonią państwa Piotrowiczów – powiedział oburzony Łukasz.

– Że też ludzie zawsze muszą się tak śpieszyć – zauważył z westchnieniem ojciec.

Jednak wbrew przewidywaniom i oni bardzo szybko dogonili zarówno poloneza, jak i mikrobus. Ostatni zjazd był wprawdzie istotnie prosty jak komin, ale obsadzony drzewami. Ich korony zasłaniały niższe odcinki drogi. Toteż dopiero z niewielkiej odległości dostrzegli przed sobą czerwoną lampkę, zataczającą małe kółka.

– Milicja? – spytał zdziwiony Łukasz.

– Milicja – ojciec zahamował łagodnie na wyboistym poboczu.

Lampka zgasała. Chłopiec zauważył zaparkowany po przeciwnej stronie radiowóz.

– Kontrola drogowa – powiedział ktoś w ciemności. – Proszę chwileczkę poczekać.

Z przodu dobiegł podniesiony męski głos, który wydał się Łukaszowi znajomy.

– Mogę wysiąść? – uchylił drzwiczki.

– Tylko nie odchodź od samochodu.

Chłopiec nie musiał odchodzić, by się upewnić, że znajomy głos należy rzeczywiście do Marka Piotrowicza.

– Co, ja? Wcale się nie denerwuję – mówił pan Marek, najwyraźniej w świecie mocno poirytowany. – Ale mogę chyba jechać, dokąd mi się podoba. Co? Przecież powiedziałem, że do siebie. Co w dowodzie? Adres w dowodzie? Mieszkam w Krakowie, ale tutaj mam małą dachę. Jest lato, proszę pana! Czy zostaję? Tak. Nie. To znaczy rodzina zostaje. Ja wracam jutro do pracy. Co? Oczywiście, że panu wolno pytać. Przecież odpowiadam. Całe szczęście. Już myślałem, że Górek stał się nagle ścisłym rezerwatem albo czymś w tym rodzaju. Co? A tak, do widzenia.

Zawarczał silnik i polonez odjechał.

Milicjanci podeszli z kolei do mikrobusu.

– Dobry wieczór. Jestem naczelnikiem gminy – mówił nie czekając na pytania mężczyzna w ciemnym ubraniu. – Wracam właśnie z Nowego Sącza, od wojewody. Byłem także u was, w wydziale spraw wewnętrznych. Zawiadomiliśmy wojsko. Czy zamkniecie wjazd do Górka?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kto jedzie z panem?

– Zabrałem z przystanku autobusowego trzy osoby. Taki ścisk, że czekali by pewnie do rana. Musicie coś zrobić. Musicie coś zrobić – w przeciwieństwie do pana Marka naczelnik nie był zagniewany, raczej zatroskany i przybity.

– Dziękuję – przeprowadzający kontrolę zwrócił się teraz do trzech mężczyzn, którzy kolejno wyskoczyli z mikrobusu na drogę. – Panowie?

– Jestem dziennikarzem – oświadczył pierwszy. – Oto moja legitymacja i delegacja służbowa do Górka.

– Ja mam paszport dyplomatyczny – drugi pasażer autobusiku był korpulentnym wesołkiem. – Złapał mnie pan na gorącym uczynku, ha, ha, ha! – zarechotał. – Zamiast pilnować interesów wypuszczam się na zieloną trawkę, ha, ha, ha! Proszę. Moje nazwisko brzmi: Kuncki.

– Paszport nie dyplomatyczny, tylko konsularny – sprostował milicjant przyświecający sobie małą latarką.

– Dyplomatyczny, konsularny, co za różnica, ha, ha, ha. I tak ściśle współpracuję z ambasadą mojego państwa...

– Nazwisko Kuhncky – poprawił znowu spokojnie kontrolujący. – Pan John Kuhncky. Bardzo dobrze mówi pan po polsku – dodał uprzejmie. – Czy ma pan w Górku zamówiony pokój?

– Tak. W pensjonacie „Rusalka”. To podobno tuż nad jeziorem. Może uda mi się zrzucić kilka kilogramów wagi, ha, ha, ha! A w każdym razie obiecano mi łódkę, ciszę, spokój...

– Ciszę, spokój... – powtórzył dziwnym tonem milicjant. – Dziękuję. A pan?

Trzeci mężczyzna podciągnął pasek, na którym zwisał nieduży chlebak.

– Nie mam przy sobie żadnej legitymacji – rzekł krótko.

– Ach, tak. Wobec tego muszę pana poprosić do radiowozu.

– Uhm. Proszę na mnie nie czekać – człowiek podróżujący bez dokumentów podał rękę naczelnikowi. – Dziękuję za podwiezienie. Dalej pójdę pieszo. Taki ładny wieczór.

– Nigdy nie powinno się wyjeżdżać bez dowodu osobistego – pouczył go na pożegnanie Kuncki vel Kuhncky.

– Do widzenia. Życzę miłego urlopu – odpowiedział z nie zmałym spokojem zatrzymany.

Łukasz wrócił na swoje miejsce we fiaciku. W głowie huczały mu strzępki zasłyszanych rozmów. „Wracam od wojewody... Zawiadomiliśmy wojsko... Musicie coś zrobić... Zamkniecie wjazd do Górka... Delegacja służbowa... Paszport dyplomatyczny... Nie mam legitymacji”...

I to wszystko zaraz po tym, jak ze środka jeziora wystrzeliły trzy płomienne kule o jaskrawych barwach.

Dziwne.

– Trochę to dziwne – zauważył tato, odbierając papiery od mężczyzny w białej czapce. – Pierwszy raz mi się zdarza, żeby milicja pytała mnie, dokąd jadę i po co. Czy zaszło coś niezwykłego?

Chłopiec nastawił uszu.

– Do Górka przybyło ostatnio bardzo dużo ludzi – padła odpowiedź. – Nie ma już wolnych kwater. Wobec tego doradzamy turystom i letnikom, którzy nie mają skierowań na wczasy, by rozejrzeli się za czymś gdzie indziej. W pobliżu jest dużo ładnych miejscowości. Ale skoro pan jedzie do prywatnego domu, to, oczywiście, wszystko w porządku. Pan naprawdę o niczym nie słyszał? – w głosie milicjanta zabrzmiała nutka niedowierzania.

– O czym?

– Nic, nic. Dziękuję, proszę jechać – czerwona lampka znowu zaczęła zataczać kółeczka. Na wzgórzu błysnęły reflektory dwóch samochodów. Do przeludnionego Górka śpieszyli następni goście.

– Tato, co to jest, o czym ty nie słyszałeś?

– Hmm...

Łukasz zdał sobie sprawę, że jego pytanie nie zabrzmiało zbyt mądrze, i musiał się uśmiechnąć.

– Dobrze już, dobrze – mruknął.

– Zaraz będziemy na miejscu – pocieszył go ojciec.

Zrobiła się prawdziwa noc. Minęli kilka oddalonych od szosy domów z jasnymi kwadracikami okien, aż wreszcie ostrożnie skręcili w lewo, wjeżdżając na polną drogę, która wiodła w dół, przez płytki wąwóz o gliniastych ścianach. Tu i ówdzie w świetle reflektorów ukazywały się warstwy pokruszonych skał. Po prawej stronie wychynał z ciemności pękaty głaz, podobny z profilu do hipopotama. Łukaszowi zrobiło się nieswojo. Samochód podskoczył na kamieniach. Pod kołami raz i drugi chlupnęły kałuże.

Raptem ojciec zahamował. Fiacik sunął chwilę po mokrym żwirze, aż stuknął o jakąś przeszkodę i stanął niemal dokładnie w poprzek drogi. W ostatnim momencie, gdy światło reflektorów biegło jeszcze w kierunku jazdy, Łukasz dostrzegł zarysy nienormalnie wielkiej postaci.

Silnik zgasł. Zapadła przejmująca cisza.

– Pech – westchnął w końcu ojciec. – Przestraszyłem się, że kogoś potrącę – wysiadł i zaczął oglądać nierówną nawierzchnię. Nagle wyprostował się. – Nie słyszał pan, że jedziemy? – rzucił w mrok. – Nie widział pan świateł?

– Świateł...? – odpowiedział czyjś zachrypnięty głos. – A no, były światła...

– To dlaczego szedł pan dalej środkiem?

Łukasz bez pośpiechu opuścił auto i zatrzymał się pół kroku za ojcem. Dopiero stąd zobaczył mglistą sylwetkę majaczącą w ciemności. Teraz intruz nie wyglądał już na olbrzyma. Mimo to jego głos i zachowanie nie budziły zaufania.

– Nie szedłem – sprostował. – Stałem i czekałem. Nie wiedziałem, co świeci...

– A cóż mogło świecić, jak nie samochód? – rzekł z wyrzutem ojciec. – Niech mi go pan pomoże dźwignąć i ustawić tak, żebyśmy mogli jechać dalej... Dobrze?

– Niby to pan nie wie, co mogło świecić? – zachrypnięty mężczyzna zdecydował się wreszcie ruszyć z miejsca. Jednak im bliżej podchodził, tym mniej się podobał Łukaszowi. Górną część twarzy nieznajomego zakrywała kryza okrągłego kapelusza, natomiast broda niknęła w podniesionym kołnierzu zapiętej pod szyją kurtki. Szedł bezszelestnie jak zjawa.

W dodatku okazało się, że nie był sam. Postępowała za nim druga postać, równie cicha, choć niższa i z odkrytą głową. Dopiero gdy człowiek bez twarzy pochylił się nad maską unieruchomionego wozu, Łukasz odgadł raczej, aniżeli zobaczył, że tym drugim był kilkunastoletni chłopiec.

Rozległ się pisk, coś zaskrzypiało i zanim zaskoczony właściciel fiacika zdążył powiedzieć słowo, samochód stał na powrót we właściwej pozycji. Kapelusznik flegmatycznie otrząpął dłonie i mruknął:

– Zrobione. Nie ma nawet żadnego wgięcia. Tu jest zawsze mokro.

Silny – pomyślał bez entuzjazmu Łukasz.

– Siłacz z pana – rzekł głośno ojciec. – Ale mogliśmy przecież zrobić to razem.

– Ee... – wychrypiał mężczyzna. – Mój kuzyn ma mercedesa. Temu i we dwójkę nie dalibyśmy rady. Ale to... – machnął ręką. – Pan do profesora?

– Do... Tak. Do państwa Piotrowiczów. Skąd pan wie?

– Przecież nie pchałby się pan o tej porze nad jezioro. A oni też tylko co zajechali. Widziałem. Mieszkam tu zaraz, za drzewami – wskazał głową kierunek. – Siostra żony ma dom obok. Zachodzi do profesora. Sprząta, dogląda. A kiedy przyjeżdża, to nosi tam ser, jajka, mleko. Na wakacje?

– Na wakacje. Z synem.

– No to się napatrzycie...

– Napatrzymy...? – powtórzył zdziwiony ojciec.

– Wczoraj było po tej stronie zatoki, to myślałem, że i dzisiaj będzie tak samo. Dlatego tu przyszedłem. Tam koło mnie kopali kiedyś żwir i teraz jest glina. Syn niesie... – wskazał ręką za siebie.

Łukasz przestał cokolwiek rozumieć.

– Nie bardzo wiem, o czym pan mówi – powiedział słabym głosem jego ojciec.

– Ja nic nie mówię – odzębął się kapelusznik. – To inni mówią... jeden tak, drugi tak... A żyć jakoś trzeba, no nie?

Zapadło milczenie. Łukasz przeniósł wzrok na chłopca, stojącego nieruchomo tam, gdzie wynurzył się z mroku. Miał jasne włosy, które w świetle reflektorów sprawiały

wrażenie białych. Z pleców zwisał mu duży worek, chyba ciężki, bo podtrzymywał go obiema rękami.

Ojciec Łukasza westchnął.

– Zrobiło się późno – powiedział, zrezygnowany. – Musimy jechać.

– A no, późno – zgodził się miejscowy sąsiad państwa Piotrowiczów. Skinął na syna, po czym sam ruszył przodem. Chłopiec poszedł w pewnej odległości za nim. Miał okrągłą twarz, zaciśnięte usta i patrzył prosto przed siebie. Mijając fiacika wykonał nieznaczny ruch głową i fachowo splunął przez zęby. Może chciał wyrazić swój stosunek do przyjezdnych w ogóle, może tylko do tych przyjezdnych, którzy akurat przyglądali mu się z niemiłym zaskoczeniem, a może na swój sposób obwieszczał światu, że dźwiganie worka pełnego ciężarów jest dla niego najzupełniejszą błahostką.

– Kwiczoł – burknął Łukasz. Nie wiedzieć dlaczego nazwa tego rzadkiego i sympatycznego ptaka od dawna służyła mu jako wyzwisko, używane wobec osób oraz sytuacji budzących jego skrajną niechęć. – Taaki kwiczoł – pokazał rękami rozmiary kwiczoła, po czym zamyślił się i powiedział zmienionym tonem: – Tato, wiesz? Czy to, o czym ten człowiek mówił, i to, o czym ty nie słyszałeś – zrobił znaczącą przerwę – nie ma czegoś wspólnego z tamtymi świecącymi kulami? Z milicją i w ogóle?

– Z „w ogóle” na pewno ma coś wspólnego – przyznał ojciec.

– Tato, ja nie żartuję... Tato, uważaj!

– Widzę.

Fiacik podskakując na garbach koleiny, ominął nową postać, która ukazała się w blasku reflektorów. Był to mężczyzna, w krótkich spodenkach i jasnej, sportowej koszuli. Niósł skórzaną torbę, aparat fotograficzny i wyglądał na zwykłego urlopowicza. Dziwne było tylko to, że najpierw odwrócił się tyłem do nadjeżdżającego samochodu, a potem wędrował powoli wokół własnej osi, tak, aby siedzący w aucie ani przez moment nie widzieli jego twarzy.

Łukasz już nic nie powiedział. Zresztą, na rozmowę nie starczyłoby czasu. Dosłownie dziesięć metrów od miejsca, gdzie minęli człowieka, który udawał, że go nie było, ściany wąwozu opadły i ukazał się otoczony drzewami duży, drewniany dom, z oszkloną werandą na dole, obszernym tarasem wyżej i stromym, góralskim dachem. Wszystkie okna dosłownie buchały światłem. Za domem, nisko w dole, lśniła spomiędzy zarośli księżycowa ścieżka na jeziorze.

– Staniemy z boku, żeby nie przeszkadzać – mruknął ojciec. Precisnęli się między rozłożystym modrzewiem a samochodem gospodarzy. Polonez, porzucony z szeroko otwartymi drzwiami, przypominał ptaka o czterech rozczapierzonych skrzydłach i zadartym ogonie. Ojciec skręcił za narożnik i wyłączył silnik.

– Jesteśmy – odetchnął.

Z domu dobiegł jazgotliwi gwar zmieszanych głosów. A no, jesteśmy – pomyślał Łukasz.

W przestronnym pokoju centralne miejsce zajmował kominek wykładany marmurem. Na kominku stał złocisty zegar, którego tarczę podtrzymywały powyginane smoki. Towarzyszyły mu srebrne lichtarze. Między wygodnymi, niskimi fotelikami znajdował się długi stół, w tej chwili zarzucony torbami, pudełkami i paczkami różnych kształtów i rozmiarów. Jeden fotel ustawiono w pobliżu kominka, obok stojaka z łopatką i pogrzebaczem, drugi, po przeciwnej stronie, wspierał się o niepokalanie białą ścianę. Prawy narożnik zajmowała szafka, na której półkach płaski, kolorowy telewizor sąsiadował z ozdobnymi lampami naftowymi, telefonem, samowarem i wazonami, a podłużne radio, strzeżone przez czarne kolumny głośników, z prehistorycznym gramofonem, zaopatrzonym w wygiętą tubę, stało obok nieszczęsnego żaglowca, uwięzionego w butelce i kilkoma ładnymi, ludowymi laleczkami. Ściany były ozdobione portretami i kolorowymi talerzami. Całości dopełniał

puszysty dywan miodowej barwy oraz lampy z bufiastymi abażurami, malowniczo rozrzucone po całym pokoju. W kącie, blisko otwartych drzwi do kuchni, drewniane schody prowadziły na piętro.

Łukasz od razu odniósł wrażenie, że czegoś jest tutaj za dużo, jednak to wrażenie dotyczyło nie tyle sprzętów, ile nóg, niewątpliwie należących do ludzi.

– W tej chwili oddaj mi moje książki! – zgrabne skądinąd nogi zamigotały białymi sandałkami przemierzając drogę między kominkiem a półką. Pech chciał, że natrafiły na wystającą spod stołu walizkę i, jak mówią samochodziarze, utraciły przyczepność. Huknęło i zawrzeszczało.

– Oddam, jak ty mi oddasz moje kasety! – nogi w dżinsach wykonały przedwczesny unik. Palnęły piętami o barylkową torbę, by następnie przebyć lotem koszącym na wstecznym biegu przestrzeń dzielącą je od lampy, umieszczonej na smukłej kolumnie. Na szczęście właściciel innych nóg, stojący obok szafki zdążył złapać świecącą najspokojniej lampę dosłownie włos nad podłogą.

– Przestańcie, zaraz! Helu, zrób coś z nimi! Oszaleć można. Gdzie jest mój śrubokręt?! Dopiero co tutaj go położyłem!

Smukłe nogi, drepczące raczkami w stronę kuchni, ledwie widoczne spoza tobołu, który jechał za nimi, zatrzymały się.

– Dzieci, słyszałyście, co powiedział ojciec? Bardzo was proszę! Marku, naprawdę nie widziałam śrubokrętu...

– Poczekaj, Helu, pomogę ci – nogi spoczywające dotąd bezpiecznie przy kominku podeszły statecznie do tobołu. Ten uniósł się jak oklapły balon i zaczął podróżować znacznie różniej.

– Potłukłam się przez tego osła!

– Oddaj kasety!

– Co z tym śrubokrętem?! Bo nie naprawię wtyczki i nie będziecie oglądać telewizji!

– Gdybyż to mogła być prawda! O, jesteście – męskie nogi, które wyszły z kuchni zatrzymały się na moment, po czym ruszyły ku werandzie.

Łukasz zamrugał oczami i spojrzał wyżej. Już parę ładnych minut stali obaj z ojcem w otwartych drzwiach, przez nikogo nie zauważeni.

Stateczne nogi unosiły, jak się okazało, siwowłosego dziadka Miry i Pawła. Stał teraz przed nimi i uśmiechał się przyjaźnie. Był drobny, średniego wzrostu, ujmująco spokojny. Miał czerstwą, opaloną twarz i jasnoniebieskie oczy, w których często zapalały się wesołe ogniki.

– Czemu nie wchodzicie? – spytał. – Przestraszyliście się, że zostaniecie stratowani? Niebezpieczeństwo istnieje, ale zachowując najdalej posuniętą ostrożność można ocaleć. Gdzie wasze rzeczy?

– Zostawiliśmy je w samochodzie – powiedział ojciec Łukasza. – Potem zaniemiemy od razu do pokoju...

– Wobec tego siadajcie, obejrzyjcie do końca inauguracyjne przedstawienie w wykonaniu rodzinnej trupy Piotrowiczów i powtarzajcie sobie w duchu, że jutro będzie lepiej.

Zaproszeni posłusznie zajęli wskazane im miejsca w fotelach obok kominka. Tu zostali odkryci przez głównych członków „trupy”, jak się wyraził dziadek Klemens. Nestor rodu Piotrowiczów miał na imię Klemens.

– O! – zawołała Mira. – Widzisz, tato?! – obejrzała się na mężczyznę dłubiącego przy telewizorze. – A mówiłeś, że ich zamknęli!

Mira skończyła właśnie szóstą klasę z odznaką „Wzorowego Ucznia”. Jej długie, miękkie włosy okalały drobną śniadą buzię z dużymi oczami i delikatnym noskiem, tylko odrobinę sterującym w niebo. Kiedy się śmiała, na jej policzkach występowały dwa dołeczki, dokładnie takie, jakie od wieków opisują zakochani poeci.

– Ja mówiłem? Nie mówiłem. To znaczy, żartowałem! – zaprotestował nieszczerze ojciec niedyskretnej piękności. – A, Rafale, dobrze, że jesteś. Czy mógłbyś mi pomóc przy tej wtyczce? Ktoś zabrał śrubokręt...

Wezwany wstał i obejrzawszy rozbebeszony kontakt ruszył w stronę drzwi.

– Chwileczkę – powiedział. – Przyniosę narzędzia z samochodu...

– Świetnie – ofertę przyjęto z zadowoleniem, acz bez wdzięczności. Nie mając chwilowo nic do roboty pan Marek Piotrowicz odwrócił się twarzą do pokoju i wygodnie oparł o szafkę. Coś spadło na podłogę. – Śrubokręt – zostało obwieszczane niechętnym tonem. – Ciekaw jestem, kto go tu rzucił!

– Sam go położyłeś za telewizorem, a teraz straciłeś – wyjaśnił rzeczowo Paweł, po czym zwrócił się do Łukasza: – Rzeczywiście długo was trzymali. Wlepili wam mandat? – zagadnął z nadzieją w głosie.

Paweł był o dwa miesiące starszy od Łukasza, chodził do tej samej szkoły co Mira i skończył siódmą klasę z bardzo dobrymi stopniami. Miał włosy jaśniejsze od siostry i lekko zadartą brodę, co podkreślało pełen wyższości ton, jakiego używał w rozmowach z rówieśnikami i nie tylko rówieśnikami. Budową ciała przypominał swojego ojca. Był krępy, nie za wysoki, i sprawiał wrażenie silnego.

– Nie wlepili nam mandatu – Łukasz chciał dodać, że ich fiacik przedstawił się milicjantom z jak najlepszej strony, ale wspomnienie czerwonej lampki skierowało jego myśli ku wszystkim tajemniczym zdarzeniom, które sprawiły, że ostatni odcinek drogi zajął im tyle czasu. – Tu zaraz, przed waszym domem, spotkaliśmy mężczyznę bez twarzy... To znaczy, w takim jakimś kapeluszu! – zawołał z nagłym zapałem. – Tato o mało go nie potracił i musieli przesuwać samochód. Mówił, że wczoraj coś było z tej strony zatoki, a dzisiaj nie. U niego kopali żwir i teraz jest glina. Jego syn niósł worek. Za nimi szedł ktoś, kto na nasz widok zasłonił sobie głowę, żebyśmy go nie widzieli. A przedtem zobaczyliśmy świecące kule. No, te, co wystrzeliły z jeziora i poleciały w górę. Zmieniały kolory jak neonowe reklamy. Czy wiecie, co to było?

Mira zatrzymała się na pierwszym stopniu schodów. Postawiła walizkę i powiedziała rozmarzonym głosem:

– Oczywiście. Mamy tu pod wodą specjalną wyrzutnię świecących kul. Lepimy je z gliny i wypuszczamy, ilekroć przyjadą nadzwyczajni goście.

– Przedtem musimy wykopać żwir – przypomniał Paweł.

– Nosimy go w workach, a jak zagrozi nam drogę jakiś samochód, to go przestawiamy.

– Potem odwracamy głowy i zasłaniamy twarze. Na wszelki wypadek zmieniamy jeszcze kolory. Przybieramy barwy ochronne.

– To byłoby chyba wszystko – Mira wdzięcznie skinęła główką, wzięła walizkę i poszła na górę.

Łukasz najchętniej zapadłby się pod ziemię. Nigdy nie był gadułą, ale w razie potrzeby potrafił znaleźć właściwe słowa i umieścić je obok siebie we właściwej kolejności. A tu proszę, jak się popisał. Zaraz pierwszego wieczoru...

– Nie przejmuj się – usłyszał nagle miły głęboki głos. – Pewien mój znajomy filozof, kiedy natknie się na jakiegoś zadufka, ma zwyczaj mawiać: „im głupszy, tym mądrzejszy”. Zadufek nie wie, o co chodzi, mój znajomy jest dumny z błyskotliwej reprimendy, jakiej mu udzielił, i obaj rozchodzą się zadowoleni z siebie.

Łukasz był zbyt wytrącony z równowagi, aby dociekać, dlaczego jakiś filozof uważa, że głupszy jest mądrzejszy, ale spojrzał z wdzięcznością na starszego mężczyznę, który najwyraźniej zauważył, co się w nim dzieje. Zacerpnął tchu i składniej już opisał przebieg zajścia, jakie miało miejsce w wąwozie.

– Znam tego człowieka w kapeluszu i jego syna – powiedział z namysłem pan Klemens, gdy chłopiec skończył. – Nazywają się Cielicowie. Ów młodzieniec z workiem ma na imię Jacek. Siostra jego ojca wyszła za mąż za gajowego, ale te dwie rodziny nie przepadają za sobą. Gajowy powiada o swoim szwagrze, że jest łgarzem i że zdarłby skórę z własnego syna, gdyby tylko ktoś chciał mu za nią zapłacić. Myślę, że trochę przesadza. O tym drugim, który na wasz widok zakrył sobie twarz, wiem, naturalnie, nie więcej od ciebie. Rzeczywiście, mieliście dziwne spotkania. Wspomniałeś o jakichś kulach...?

Dopiero teraz wrócił ojciec Łukasza, niosąc pudełko z narzędziami.

– Niepotrzebnie się tak śpieszyłeś – powitał go ironicznie Marek Piotrowicz. – Dawno sam sobie poradziłem. Znalazł się śrubokręt.

– Przepraszam. Nie mogłem ich odszukać. Były pod bagażami...

– Narzędzia trzeba mieć zawsze pod ręką!

– Tak, oczywiście...

– No więc co z tymi kulami? – upomniął się dziadek Klemens.

– Zobaczyliśmy je ze szczytu wzgórza, skąd jest taki ładny widok na jezioro i Górek – tu Łukasz wiernie odmalował obraz wylatujących z wody wielobarwnych ognistych tworów.

– Nie. Niestety... Nie widzieliśmy – słuchający z uwagą pan Klemens bezradnie rozłożył ręce. – Ale to zrozumiałe. Kiedy wy byliście na górze, my jechaliśmy już w dół, między drzewami.

– Ujrzeście światła na przystani albo na żaglówkach – zawyrokował kategorycznym tonem ojciec Miry i Pawła. – W okolicy nie ma żadnego lotniska. Czasami wodniacy puszczają latawce i ciągną je za łodziami. Może dzisiaj też ktoś tak się zabawiał. Nic prostszego, niż przyczepić do latawca lampion z latarką czy świeczką. Przepraszam, muszę pójść do siebie – otworzył drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie wejścia do kuchni i z ręką na klamce dodał: – w poniedziałek oddaję sprawozdanie. Chcę jeszcze przejrzeć materiały... nie wszystko mi się podoba.

– Ciśnij w kąt papierzyska i zostań z nami w Górku – poradził dziadek Klemens. – Jeśli nie możesz spokojnie wyjechać na urlop, bo boisz się, że twoi współpracownicy narobią bałaganu albo wygryzą cię ze stanowiska, to jesteś kiepskim kierownikiem.

– Nie jestem kiepskim kierownikiem, tylko patrzę trzeźwo na świat i życie. Ojciec niczego nie rozumie – pan Marek głośno zamknął za sobą drzwi.

W pokoju zrobiło się naraz bardzo cicho. Paweł bawił w łazience. Z otwartej werandy napływało orzeźwiające powietrze.

Ale spokój nie trwał długo. Na piętrze coś trzasnęło, po czym rozległ się tupot drobnych kroków i ze schodów zbiegła Mira. Nie dostrzegając nikogo stanęła przed kuchennymi drzwiami i zawołała ze złością:

– Mamo!

– Co się stało? – pani Helena niezwłocznie ukazała się w progu. Posrebrzane włosy przyłgnęły jej do czoła zlepionymi kosmykami. W jednej ręce trzymała dymiący garnek, w drugiej długą drewnianą łyżkę.

– Mamo, chodź na górę i zobacz! Rozpakowałam dopiero jedną torbę, a już nie ma gdzie palca włożyć! Gdzie dam resztę rzeczy, sukienki, książki, w ogóle wszystko? Dlaczego Paweł ma mieć swój pokój dla siebie, a ja muszę mieszkać z kimś?! To męka, nie wakacje!

– Nie z „kimś”, tylko ze mną...

– Ale dlaczego? Dlaczego?

– Dlatego, że... Dlatego... – mama złościcy musnęła przestraszonym spojrzeniem obu zaproszonych na lato gości i umilkła.

Dlatego, że my z ojcem mamy spać w jej pokoju – dopowiedział sobie w myśli Łukasz.
– Kwiczoł. Kwiczoł, kwiczoł, kwiczoł...

– A ja się cieszę, że będę mieszkać z tobą – po chwili ciszy pani Helena wznowiła próbę rozładowania atmosfery. – Codziennie przed zaśnięciem troszkę sobie porozmawiamy. W mieście stale jesteśmy zajęte...

– Eee...

– Moi panowie – odezwał się głośno dziadek Klemens. – Najwyższy czas, żebyście się zadomowili. Idźcie po bagaże, a potem zaprowadzę was do waszego pokoju. Gospodyni, jak widzicie, jest zajęta i nie powinniśmy jej przeszkadzać, jeśli chcemy dostać kolację.

Łukasz wraz z ojcem skwapliwie skorzystali z propozycji.

Rozpakowali się w milczeniu, unikając nawzajem swojego wzroku. Jasna, obudowana boazerią szafa bez trudu pomieściła ich wakacyjny dobytek. Tu na górze ściany były z desek pomalowanych bezbarwnym lakierem. Z naturalnym kolorytem drewna niezbyt dobrze harmonizowała śnieżna biel mebli. Biała szafka z lustrem, biała półeczka, białe regały, biały stolik i także dwa krzesła z wygiętymi oparciami. No tak, był to przecież pokój dziewczęcy. Wyposażenia dopełniały wygodna wersalka i, oczywiście biały, tapczan.

Kiedy skończyli, ojciec otworzył okno. Łukasz z ponurym wyrazem twarzy wyjrzał na zewnątrz. Najpierw poczuł zapach powietrza i głęboko odetchnął. Potem przebiegł wzrokiem leżącą po lewej stronie płaszczyznę jeziora. „Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą i dwa obaczysz księżycy” – pisał wieszcz. To właśnie obaczył Łukasz. A ponadto czarnogranatowe zbocza gór i dalekie lampy przeświecające przez liście.

Chłopiec westchnął. Jakież wspaniałe mogłyby być tutaj wakacje, gdyby nie ci Piotrowiczowie. To znaczy wyłączając panią Helenę i pana Klemensa, bo oni to zupełnie co innego. Gdyby tato był weselszy i potrafił czasem dać po nosie na przykład panu Markowi. Gdyby mama...

Gdyby, gdyby, gdyby...

Ojciec dotknął jego ramienia.

– Zobaczysz... – zaczął cicho, ale nie skończył. Nie z jeziora tym razem, a spomiędzy wzgórz trysnęło w górę kolorowe światło.

– Tato!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI